



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jan Mazur

## Podczas wojny w Zdziłowicach

Pochodzę z dużej wsi Zdziłowice na Lubelszczyźnie. Tam 1 września 1939 roku zastała mnie wojna. Był to piątek. Rano razem z kolegami udałem się do szkoły. Kierownik – pan Antoni Skakuń i reszta nauczycieli już czekali na nas na placu przed budynkiem. Było jakoś inaczej niż zwykle. Pośrodku stał stół, a na nim radio. Punktualnie o 8.00 z jego głośnika popłynęły słowa ministra oświaty, który powitał dzieci. Następnie pan marszałek Śmigły-Rydz wypowiedział słowo „wojna”. Stwierdził, że Polska będzie się bronić do ostatniego guzika. Po nim przemawiał pan minister Józef Beck i pan prezydent Ignacy Mościcki. Wszyscy zapewniali, że Polska ma dość broni i sił, aby odeprzeć wroga. Jak pamiętam, to po wpisaniu się i zapoznaniu z nauczycielami rozeszliśmy się do domów. Lekcje zostały odwołane. Nauka miała się rozpocząć 11 września 1939 roku – tak postanowił minister.

Tu wspomnę, że chociaż wieś Zdziłowice była duża, bo miała 4 części i 4 sołtysów, to wtedy było tam zaledwie 6 słuchawkowych odbiorników radiowych i jedno – to w szkole – głośnikowe. Dlatego, gdy szliśmy do szkoły żaden z nas jeszcze nie wiedział o wojnie.

Dnia 10 września (była to niedziela) razem z kolegami poszedłem na odpust do Janowa Lubelskiego, odległego od Zdziłowic o około 20 kilometrów. Szliśmy pieszo po polnych drogach. Była wtedy ładna, słoneczna pogoda i nie zanosilo się na coś złego. W Janowie podczas mszy około godz. 12.00 nadleciały niemieckie samoloty, które zrzucały bomby oraz strzelały. Osobiście widziałem, jak się przewracały domy, jak fruwały w powietrzu. Było dużo ognia i dymu. Ludzie uciekali gdzie kto mógł. Było bardzo tłoczno: piesi, furmanki konne, a na rynku wokoło stragany kramarskie, które też fruwały podczas bombardowania. Był to odpust na „Matkę Boską Siewną”.

Zastanawiam się do dziś do kogo ci Niemcy strzelali? Przecież tam nie było ani jednego wojaka. Nawet nie widziałem policjanta.

Uciekając wtedy po nieznanym mi uliczkach znalazłem się na szosie wiodącej z Janowa na Kraśnik. Usiadłem w zaroślach i spotkałem tam moją babcię Marię Adamek, która też była na odpuscie. Razem z ukrycia obserwowaliśmy, jak się paliło całe miasto Janów, a nawet sąsiednia Biała. Jedne samoloty odlatywały, drugie przylatywały. Tak było do godziny 14.00. Później, Bogu dzięki, samoloty odleciały. Wtedy udaliśmy się w drogę przez Modliborzyce-Wierzchowiska do wsi Antolin. Do Antolina dotarliśmy na wieczór i tam u krewnych Stolarzy przenocowaliśmy. Na drugi dzień, 11 września, przez wieś Piłatkę poszliśmy do Zdziłowic, tj. około 9 kilometrów. Na miejsce dotarliśmy na 8 rano. Ja od razu poleciałem do szkoły (w domu i w szkole już mnie oplakiwano, że zginąłem w Janowie podczas bombardowania).

Do 1 grudnia 1939 roku nie widziałem na oczy żołnierza niemieckiego, ale za to dużo żołnierzy polskich, którzy szli na wschód, a potem cofali się i przebierali w cywilne ubrania.

Ludności cywilnej było mnóstwo. Każdy uciekał. Samoloty tak jak wcześniej w Janowie strzelały do nich, więc najczęściej ludzie szli nocami, a było ich tylu, że u nas we wsi zabrakło wody w studniach (było ich ogółem 20, z czego 12 miało żurawia, a 8 wał z korbą). Gdy kopaliśmy kartofle też nadleciały samoloty i strzelały do nas. Trzeba było się chować w redliny.

Gdzieś na początku grudnia przyjechały do Zdziłowic dwa samochody z Niemcami – jeden mały, drugi duży. Zebrano nas wtedy w szkole. Żołdacy niemieccy naznosili z klas portrety dostojników państwowych (prezydenta i marszałka), godła państwowe oraz jakieś papiery, to wszystko złożyli na kupę, oblali benzyną i podpalili. Jeden z oficerów powiedział do nas, że Polska przestała istnieć i nie będzie już polskich szkół. Potem podali panu kierownikowi jakieś książki i dokumenty i odjechali. Przy szkole spotkali jeszcze idącego Żyda z brodą (nazywał się Szmul). Jeden z Niemców pogadał z nim chwilę. Następnie złapał go za brodę i pociągnął pod bramę szkoły. Tam wyjął bagnet, który naostrzył na żelaznym słupku i przystąpił do golenia Żyda. Ten zaczął krzyczeć wniebogłosy. Od tamtej pory nie widziałem już ani jednego Żyda z brodą.

Potem uczyliśmy się już niemieckiego języka, a polskiego według norm podanych przez władze okupacyjne. Szkoła została zamknięta, kiedy do wsi przywieziono tzw. wysiedlonych. Było to już jesienią 1941 roku. Mimo to my uczyliśmy się nadal w różnych uprzednio wyznaczonych miejscach, tj. po domach prywatnych lub w lesie (w okresie letnim).

Działała już wtedy gminna organizacja NSZ. Byli już partyzanci, których widywaliśmy w polskich mundurach z karabinami jadących na rowerach lub furmanką. U nas w Zdziłowicach działał „Marełko”, któremu podlegało około 20 ludzi. We wsi Błóżek były „Tylusy” (około 15), a w Andrejowie „Kielbasy” (około 15). Nie było to na rękę miejscowej ludności – wieczorem i w nocy partyzanci, a w dzień Niemcy, którzy grozili represjami za przetrzymywanie „bandy”.

Stanisława Mazura ps. „Marełko” znałem, bo był komendantem drużyny strzeleckiej w Zdziłowicach. Pewnego razu, gdy jeszcze szkoła była czynna, około 9 rano byliśmy na przerwie. Niemcy akurat przejeżdżali furmankami. Było ich chyba 10 fur. Za trzecią furmanką szedł uwięziony „Marełko” (jeszcze nie był partyzantem). Broczył po błocie, bo wtedy spadł deszcz. Jechali tak przez wieś w stronę Janowa. Potem, po upływie około godziny, usłyszeliśmy strzały gdzieś za wioską. Wieczorem około 18.00 siedziałem z synem mojego wychowawcy pana Józefa Łacheckiego, który zawsze mnie angażował do tego, kiedy wychodził z domu. Ludzie mówili, że był on lekarzem. Wtedy do mieszkania przyszedł Stanisław Mazur „Marełko”. Miał obandażowaną lewą rękę. Pytał o pana Łacheckiego, który zresztą za chwilę wrócił do domu. „Marełko” mówił, że za wsią pod zagajnikiem zatrzymali go żołnierze niemieccy, obwiązali i chcieli sobie urządzać strzelanie. Przed egzekucją wypytywali, gdzie ukrył 25 karabinów i swój pistolet „belgijkę”. Ten odpowiedział, że nic nie ma, bo wszystko zostało zabrane przez władze powiatowe. Wtedy najstarszy rangą oficer na pustej polance wskazał mu odległy o około 100 metrów krzak i zapytał jakie ma ostatnie życzenie przed śmiercią. „Marełko” powiedział, że jako wierzący chciałby w drodze do tego krzaka odmówić różaniec. Niemcy, w liczbie około 25, pozostali na miejscu. On zaś z różańcem w rękę ruszył w drogę. W odległości kilku metrów od drzewka rozpoczął ucieczkę. Za sobą słyszał ostrą strzelaninę i świst kul, a potem zauważył krew na lewej ręce. Gdy dobrnął w bezpieczne miejsce do swojej kryjówki odpoczął, zaopatrzył się w broń krótką i opatrzył sobie ranę. Stamtąd przyszedł do pana Józefa Łacheckiego, żeby udzielił mu fachowej pomocy lekarskiej. Gdy wychodziłem z domu powiedział do mnie: „Nic nie widziałeś. Trzymaj języka za zębami – ufam ci”.

Od tamtej pory grupa „Marełki” znacznie się rozrosła i stała się groźna dla Niemców. Pamiętam jak pewnego razu jechaliśmy z ojcem wozem z lasu (ciągniętym przez krowę, bo konia zabrali okupanci). W pobliżu Lasku Michalczykowego zwanego „Cieślikówką” dogoniło nas siedmiu rowerzystów w niemieckich mundurach i jeden po cywilnemu. Nie znałem ich. Pytali czy w Zdziłowicach nie było „bandit Marełko”, ale ojciec powiedział, że rano nie było, a teraz to nie wie. W tym czasie zza góry drogą od Zdziłowic nadjechał rowerem sam „Marełko”. Wywiązała się strzelanina. Niemcy porzucili rowery i przez zboże, a było to przed żniwami, uciekli do Lasku Michalczykowego. „Marełko” wykorzystał dużą wyrwę przy drodze, z której strzelał. Potem skrył się do lasu, skąd z góry jeszcze raz oddał serię. W tym czasie my leżeliśmy pod wozem, a krowy skrzyły w bok i zwyczajnie skubały trawę. Niemcy zaczęli nawoływać: „kom, kom”. Ojciec wysłał mnie do nich. Gdy tam już byłem pytali, gdzie mieszkam. Kiedy im powiedziałem, że obok wójta Jana Bednarczyka i sołtysa Józefa Adamka, kazali nam zabrać rowery i przywieźć do wójta. Tak też zrobiliśmy. Zauważyliśmy jednak, że zamiast ośmiu było tylko siedem. Nie wiem co się stało z ostatnim rowerem. Kiedy przyjechalśmy na miejsce, Niemcy już na nas czekali. Kiedy przy zdejmowaniu rowerów z wozu stwierdzili, że jednego brak, a wszystkie pozostałe mają podziurawione opony, zaczęli bić ojca nahajem. Potem przyszedł zastępca sołtysa pan Mirek, znający język niemiecki, który dał nam do pomocy 5 chłopów oraz furmankę w celu odszukania

zguby. Zarazem okazało się, że Niemiec-cywil zgubił karabin. Nie znaleźliśmy ani jednego ani drugiego. Później Niemcy polami odjechali na furmankach do gminy do Batorza, zabierając swoje rowery.

Na drugi dzień doszła nas wiadomość, że ten brakujący rower i karabin zabrał „Marełko”.

Po wspomnianej strzelaninie Niemcy bali się swobodnie jeździć po wioskach. Natomiast częściej widywane były grupy partyzanckie. Strażacy OSP jednak odpowiednio już nastawieni przez okupantów do rodzin żydowskich otrzymali nakaz wyłapywania Żydów i odstawiania do gminy. Pamiętam jak u Panka w zabudowaniach jakaś nocna banda opryszków zegnała 4 Żydów. Odbyła się regularna walka, bo tamci też byli uzbrojeni. Trzech zabito, a czwarty imieniem Berek zbiegł. Znali go ludzie, bo pochodził ze Zdziłowic. Rankiem całkiem nago ukazał się panu Marcinowi Zyśko, prosząc o ukrycie go i danie odzienia. Zyśko opowiedział o tym swojemu zięciowi i całej rodzinie Walentego Wiechnika. Syn Walentego, Józef, zameldował gdzie trzeba. Przyjechało dwóch granatowych policjantów i zabrali Żyda. Za remizą OSP wołali do gapiów, kto chętny do zastrzelenia zbiega. Zgłosił się Jan Brodowski ps. „Mikułka” i wykonał egzekucję, za co po wojnie siedział 6 lat na zesłaniu w Rosji. Pamiętam też jak tacy sami amatorzy zabili dwoje Żydów o nazwisku Nachman, którzy mieszkali u Antoniego Grabosia oraz dwoje innych, trudniących się krawiectwem (mieszkali kiedyś u Chołobisa w suterenie, a wyciągnięto ich na śmierć od Józefa Boczka, gdzie szyli). Nachmanowie zostali pogrzebani w dołkach na polu Józefa Pestuchy, a ci krawcy przy drodze polnej na działce Stanisława Grabosia.

Pamiętam, że i ja z kolegą Pawłem Sobótką pomagaliśmy przeżyć Żydom. Od wiosny do późnej jesieni 1943 roku ukrywali się oni w szuwarach i wąwozach pod Zdziłowicami. Pewnego razu, gdy paśliśmy krowy przyszedł do nas chłopak żydowski w naszym wieku. Zawarliśmy z nim umowę, że w określone miejsce będziemy mu przynosić coś do jedzenia. Kiedyś złapał nas na tym Jan Zyśko. Najpierw nakrzyczał na nas, a potem złapał kołek do wbijania palików i pognał za Żydem z krzykiem, że go zabije. Nie wiem, czy tak faktycznie zrobił, w każdym razie chłopak już więcej do nas nie przychodził. Zyśko natomiast nakazał nam milczenie, bo w przeciwnym razie zamelduje Niemcom. Zapytaliśmy co zrobił tamtemu, na co odpowiedział śmiejąc się: „Złoiłem mu skórę i przegnałem na cztery wiatry”.

Później we wsi Józef Wcisło ps. „Mak” stworzył organizację ruchu oporu (podległą AK). Szkolił ludzi, jak mają działać przeciwko wrogowi. Masowo trudniono się podrabianiem kwitów kontyngentowych, oszukiwano nawet na maśle, wełnie, zbożu i mleku.

Skończyło się to niebawem, bo np. byli partyzanci „Marełki” zostali rozproszeni przez NSZ. Kilku zabito, a sam „Marełko” uciekając ze szkoły, w której miało odbyć się spotkanie pojednawcze, natrafił na straż i koło kuźni Partyki został ciężko ranny. Oddał się wprawdzie z tego miejsca, ale następnego dnia Niemcy znaleźli go martwego, leżącego w zbożu na błoni. Razem z innymi zabrali jego ciało do Janowa. Potem rozwieszali plakaty ze zdjęciami oznajmiając, że oto wróg i bandyta został zabity.

7 września 1942 roku Niemcy z rana otoczyli kordonem całą wieś, zagnali chłopów i kobiety z dziećmi na plac, wybrali około 120 mężczyzn, po czym załadowali ich na samochody i przez Otrocz-Wysokie zawieźli do obozu na Majdanku pod Lublinem. Trafiło tam dwóch moich braci – Józef (ur. 1920) i Stanisław (ur. 1924). Kilkunastu śmiałków uciekło po drodze. Po miesiącu przewieziono zatrzymanych pociągiem z Lublina do Pustkowie koło Dębicy. Z pędzącego pociągu kilku więźniów wyskoczyło. Uratował się też mój brat Stanisław, ale za to prawie codziennie Niemcy plądrowali nasze zabudowania szukając zbiega.

Tego samego dnia, 7 września 1942 roku, Niemcy wymordowali wszystkich Żydów ze wsi Zdziłowice, którzy wtedy tam się znaleźli. Było ich około 48 osób – starców, kobiet i dzieci. Pochowano ich na polu pana Zarzecznego w części IV Zdziłowic.

Ile się strachu najedliśmy, gdy po około pięciu miesiącach Niemcy złapali brata! Podeszli pod nasz dom. Brat zmienił bieliznę, a wychodząc z mieszkania na dwór znów skorzystał z okazji. Niemcy akurat odwiązywali konie od płotu. Staszek w tym momencie wypalił na raz jednemu i drugiemu silnym ciosem i w nogi. Niemcy pozbiali się i za nim. Padły strzały, a my – tatuś, matka, ja i siostra z małym bratem uciekliśmy z mieszkania, chowając się w trzeciej posesji, w schronie pana Ignacego Greli. Stąd doskonale było widać wciekających się hitlerowców, którzy złapali sąsiada Walentego Adamka wrzeszcząc gdzie syn-bandyta. Zjawił się zastępca sołtysa Mirek i po niemiecku wyjaśnił im, że to nie ten. Po wyjaśnieniu pomyłki Niemcy próbowali spalić nasz dom, ale że był kryty dachówką i nie było nafty, pojechali zapowiadając zemstę. Potem zawisła nad nami czarna chmura, bo ciągle o świcie wpadali do nas znienacka. Tak było prawie do końca wojny.

4 marca 1944 roku przebywał we wsi oddział partyzancki Kowpaka. Nawet stoczyli bój pod Zdziłowicami. Spalono 5 gospodarzy. W czasie tego boju zabito niemieckiego dowódcę. Partyzanci wycofali się na wschód, a Niemcy znowu zegnali na plac ludzi i zabrali na samochód chłopców, których następnie zawieźli w rejon okopów i kazali zbierać leżące tam łuski. Zbieraliśmy je w czapki i wrzucaliśmy do skrzyń na samochód. Niemcy kazali zbierać tylko jeden rodzaj łusek, inne – czarne – mieliśmy zostawiać. Domyśliliśmy się, że szukają polskich i na migi porozumieliliśmy się co robić (zakopać i przydeptać). Gdy skończyliśmy pracę żołnierze pogadali o czymś między sobą. Wtedy nadleciał samolot, krążył trzy razy i prawdopodobnie nadał meldunek, że jeżeli nie ma polskich łusek,

to możemy odejść. Najstarszy rangą hitlerowiec wlaź na samochód i na wół po polsku powiedział, że mamy szczęście, że to była banda rosyjska. Kazał nam iść do domu. Ale stanowczo zapowiedział, żeby takim nie dawać nic jeść. Po tym wydarzeniu Niemcy przyjechali jeszcze dwa razy, ale już tylko po to, żeby się nazreć i odpocząć.

Pewnego razu wczesnym rankiem przyjechały do wsi dwa wozy partyzantów „Kielbasy”, którzy rozłożyli się u nas w domu, a sołtysowi nakazali, by się postarał o jedzenie. Gdy już wszystko przyniesiono, spojrziałem przez okno i na błoniu koło wójta zobaczyłem wynurzające się cztery samochody niemieckie. Pokazałem je „Kielbasie”. Partyzanci natychmiast wylecieli od nas z mieszkania i ukryli się w pobliskich wąwozach za wsią, czekając na rozwój sytuacji. W zamieszaniu pozostawili w domu naszym i sąsiada dwa wozy z kołmi załadowane bronią, a u nas w kącie kuchni na nieszczęście Felek Kielbasa zostawił swój rkm. Niemcy tymczasem rozładowali się i u wójta zażądali kwater oraz jedzenia. Jedna z kwater wypadła u nas. Wcześniej jednak pan Mirek upewnił się, że wszystko w porządku, po czym przyprowadził 15 Niemców. W tym czasie moja matka zobaczyła stojący rkm, złapała go i schowała pod pierzynę na łóżku. Było to w chwili, gdy żołnierze wchodzili do pokoju, matka więc ze strachu położyła się razem z tym karabinem udając chorą. Jeden z nich zauważył jak się trzęsie i ze słowami „Mutter grypen” dał jej jakieś tabletki do zażycia. Ale ona i tak je wyrzucała za łóżko, tylko wodę piła.

Po pamiętnym boju oddziału „Kowpaka” z Niemcami (4 marca 1944 roku) dowództwo AK wzmogło werbunek do swoich szeregów. Ja sam, jako harcerz, 10 marca 1944 roku złożyłem przysięgę przy pomniku Marcina Borelowskiego w Batorzu. Zostałem łącznikiem AK między wsiami Otrocz, Tokary i Chrzanów. Ponadto jako uczeń szewski nosiłem skóry do Krawczyka, a tam z łącznikami z pow. Krasnystaw i Bychawa wymienialiśmy grypsy. Przenosiłem też w częściach karabin, który miał służyć do nauki w sztabie partyzanckim, a także granaty w torbie – między kartoflami (bo to niby miałem do spożycia w torbie pieczone ziemniaki). Wykorzystywano mnie też do przekazywania informacji z dowództwa (od Józefa Wcisło ps. „Mak”) do oddziału partyzanckiego Mikołaja Kunickiego ps. „Mucha”, który prawie przez cały maj 1944 roku stacjonował we wsi Otrocz. Z Otroczy wyjeżdżali na wypad do minowania torów. Uczestniczyli w tym nieraz – w ramach szkolenia – nasi ludzie z AK ze Zdziłowic. Ja sam byłem na takiej nauce niedaleko Szastarki. Minę zakładało się w taki sposób, żeby eksplodowała dopiero po minięciu jej przez pusty wagon pchany przed parowozem. W tym celu potrzebny był sznurek i tacy młodzi chłopcy jak ja, którzy tylko czekali na podobne okazje...

W końcu maja przestały przejeżdżać przez wieś ze wschodu na zachód transporty niemieckiego Wehrmachtu. Po ich wyjeździe pojawili się w Zdziłowicach partyzanci AL Kowalskiego ps. „Cień” i Szatanowskiego. Prawdopodobnie porozumieli się z naszym dowództwem AK w sprawie dalszych działań, ale nie ufaliśmy im. Każdy z nas miał się na baczności, żeby nie było tak jak z NSZ, który przy pomocy Niemców zlikwidował „Marełkę”.

W dniu 28 lipca 1944 roku od strony Otrocz nadjechała kolumna 40 samochodów niemieckich, do której jeden z partyzantów „Cienia” otworzył ogień. W wyniku strzelaniny Niemcy spalili około 70% wsi Zdziłowice II i Zdziłowice IV, a sami pod osłoną dymu wyjechali traktem w stronę Kraśnika. Po drodze natknęli się na 3 ruskie czołgi, nadciągające od Janowa, które w wąwozie lasu błaszczyńskiego częściowo rozbiły kilkanaście samochodów i wozów konnych. Na drugi dzień udałem się tam razem z kolegami. Zobaczyliśmy na własne oczy, jakie spustoszenie mogą wywołać 3 czołgi. Gdy wróciłem na pole, gdzie ojciec pasł krowy, usłyszałem jadący głównym traktem motocykl. Potem usłyszeliśmy strzały i okrzyk po niemiecku: „ręce do góry!”. Hitlerowiec zjechał w zboże kierując się wprost na nas. Miałem ze sobą broń, więc zarepetowałem i wypaliłem w stronę Niemca. Ten skręcił w prawo i wąwozem pojechał do wsi. Ojciec skarcił mnie, że za wcześniej strzeliłem.

Po dwóch dniach skończyły się koszmary. Ludzie wracali do domów (o ile nie spłonęły) i do pracy. Pogorzelnicy przystąpili do budowy nowych siedzib.

Nadeszły żniwa. Na początek odbył się zbiorowy pogrzeb ludzi, którzy zostali zabici podczas wspomnianego ogromnego pożaru, bo Niemcy strzelali do każdego, kogo zobaczyli. U nas na szczęście oprócz jednej młodej klaczy, zabranej przez partyzantów z oddziału Szatanowskiego, nikogo nie brakowało. Brat Józef żył, chociaż wyczerpany pobytem w obozie, a brata Stanisława nikt nie ścigał.

Gdy przyjechali Rosjanie, zaczęli zabierać ludzi do pracy przy układaniu krat na rozległych nizinach za Kraśnikiem koło Annapola, gdzie budowali lotnisko polowe. Spodziewaliśmy się, że będzie spokój, ale tak nie było, bo u Michalczyka zakwaterowało się NKWD. Wyłapywali członków AK. Wpadliśmy w popłoch. Kilkunastu wzięli, a trzech zakatowali na śmierć. Tacy jak ja należeli do samoobrony, która przez pierwsze miesiące władzy ludowej była organem legalnym. Potem wpisano nas na listę ORMO. Zdaliśmy naszą broń (przeważnie obrzynki i pistolety własnej roboty) a otrzymaliśmy urzędową.

Po wojnie widziałem zniszczoną Warszawę, a nawet jako członek SP odbudowywałem stolicę. Dwa lata kwaterowaliśmy na Rakowieckiej. Tam się nauczyłem zawodu murarza. Widziałem ogólnie panującą zgodę w naszych szeregach – nie było żadnych podziałów, że ja jestem z AK lub BCh, a ty z NSZ czy PPR. Wszyscy byliśmy Polakami. Razem odbudowywaliśmy nasz kraj. Gdy wróciłem z Warszawy do szkoły już nie poszedłem. Chciałem własnymi rękami pracować dla Polski.